

Jan Lucjan Kochanowski

Moje kontakty ze stronami rodzinnymi

Do opisanie kontaktów ze stronami rodzinnymi zainspirowała mnie nie tylko wypowiedź red. Piotra Szymona Łosia w Biuletynie PTZ na temat konieczności naszej obecności na wsi. Wagę tego zagadnienia poruszał wszak wcześniej prezes Jerzy Mańkowski.

Ślady ziemiańskiej działalności gospodarczej na wsi stopniowo zanikają, podobnie zresztą jak wymiera wiejskie pokolenie tych, którzy jeszcze ziemian pamiętają. Niezadługo słowa „ziemianin”, „ziemiański” staną się dla polskiej wsi pojęciami czysto historycznymi. Jeżeli więc nie możemy aktualnie istnieć na wsi w sensie gospodarczym, zaistniejemy tam w szeroko pojętym sensie intelektualnym, nie tylko poprzez odwiedzanie grobowców rodzinnych. Możliwości w tym zakresie są nieograniczone i co istotne, dodam na podstawie własnych doświadczeń, społeczności wiejskie są na te działania otwarte. Osobiście, długo do odwiedzenia rodzinnych stron nie miałem serca. Wreszcie się przełamałem, nie mając pojęcia, że przyniosą mi tyle satysfakcji i dlatego każdego do nich zachęcam.

Już blisko 3/4 wieku upłynęło od Świąt Bożego Narodzenia w 1944 r., gdy dowiedzieliśmy się od adwokata, że Ojciec i stryj więzieni na Zamku Lubelskim zostaną na święta zapewne zwolnieni. W Lublinie panowała wówczas straszna drożyzna i dlatego urządziliśmy z Mamą, że pojedą do naszego Łopiennika celem zakupu żywności. Pociągi w stronę Kraśnika już kursowały. Mimo wcześniejszego przybycia na stację, wolne miejsca pozostały jedynie na buforach i stopniach wagonów. Nadeszła już wczesna zima, było pełno śniegu i kilka stopni mrozu. Do stacji kolejowej Leśniczówka, skąd było najbliżej do naszego dworu i nieco ponad godzina jazdy koleją dojechałem przemarznięty do kości po 6 godzinach, już późnym wieczorem. Przyczyną opóźnienia była oblawa

NKWD na polskich partyzantów w lasach sąsiadujących z Krężnicą. Pociąg został na jej czas zatrzymany i nikomu nie wolno było wysiadać. Idąc z Leśniczówki po kolana w kopnym śniegu, nie zdołałem już dotrzeć do dworu i zatrzymałem się u zaprzyjaźnionych gospodarzy w Kolonii Łopiennik. Rano ktoś wpadł do nich z wieścią że w dworze jest NKWD i poszukują moją siostrę Izabellę, która jako łączniczka AK pozostawała w terenie. Zachęcany usilnie przez gospodarzy, szybko pożegnałem się i z pustymi rękami i gorączką wróciłem do Lublina. W ten grudniowy śnieżny poranek, po drodze zatrzymałem się na chwilę, aby ze Wzgórz Kaźmierowskich rzucić po raz ostatni okiem na nasz dwór. Z dala widać było, że z jednego z kominów dymi się, a więc dwór istnieje, żyje i ktoś w nim mieszka. Widocznie ma więcej szczęścia niż dwór w sąsiednim Radlinie należącym do naszych krewnych Boduszyńskich, który został rozebrany na cegły przez okolicznych chłopów jakoby jednego dnia, albo dwór w Kępie należący do ciotek Mamy Zuzanny i Bronisławy Janiszewskich, który spłonął, bowiem koczujący w nim Cyganie



Uczestnicy obchodów 40-lecia Szkoły Podstawowej w Kępie. Siedzą od lewej: Izabella Kochanowska (5), autor (7)

zaprószili ogień. W tym dworze nota bene przyszedłem na świat.

W dobie PRL, jak już wspomniałem, nigdy nie ciągnęło mnie w rodzinne strony, natomiast z uwagi na swoje kombatanckie koneksje bywała w nich moja siostra. Miałem od niej na bieżąco relacje, co się w naszych stronach dzieje. Wiedziałem, że póki we dworze działała przeniesiona ze wsi szkoła podstawowa, tak długo trzymał się on jako tako. Niestety, w 1952 roku Polska Ludowa zafundowała okolicznej ludności tysiąclatkę w graniczącej z Łopiennikiem, Kępie. Wtedy dwór łopiennicki wraz z resztówką obejmującą park nabył jakiś prywatny właściciel, który ogołocił go ze wszystkiego, co miało jeszcze jakąś wartość użytkową; kolejny właściciel doprowadził go już do ruiny.

W 1992 roku niespodziewanie siostra i ja otrzymaliśmy zaproszenie na uroczyste obchody 40-lecia kępskiej tysiąclatki. Pojechaliśmy do Lublina, skąd zabrał nas specjalnie przysłany samochód. W Kępie zostaliśmy niezwykle serdecznie przyjęci przez kierownika szkoły Zbigniewa Skubika i prowadzącą szkolną bibliotekę jego żonę Annę, z którymi trwale zaprzyjaźnił się, a podczas rocznicowej akademii zostaliśmy potraktowani jako autentyczne VIP-y. Zabierając głos podczas akademii powiedziałem, że w Kępie się urodziłem wskazując w świetlicy miejsce, że właśnie tu (tysiąclatka stanęła na miejscu spalonego dworu).

Podkreśliłem swoją sympatię do Kępy poprzez ciotunie - przemiłe staruszki i dwa niezwykle rybne jeziora, na których zdobywałem wędkarskie ostrogi. Na zakończenie, jako dar dla szkolnej izby pamięci ofiarowałem swoje świadectwo z 1 klasy szkoły powszechnej w Łopienniku z 1933/1934 roku, a bibliotece jedną z niewielu ocalałych pozycji z naszego bogatego księgozbioru, tomiku poezji Wincentego Pola „Pieśń o ziemi naszej” w ozdobnej oprawie i ze stosowną dedykacją.

Po akademii zwiedzaliśmy pomieszczenia szkoły. To co zobaczyłem, przekroczyło do wzruszenia moje oczekiwania. W szkolnej izbie pamięci wśród licznych eksponatów, na poczesnym miejscu zauważyłem wyeksponowany spory kawał ozdobnego zwieńczenia pieca stojącego w pokoju jadalnym naszego dworu. Znalazły go dzieci w łopiennickim parku w trakcie jednej z plenerowych lekcji historii i z niemałym trudem tą symboliczną pamiątkę po dworze doniosły do szkoły. Kolejną niespodzianką były umieszczone przed wejściem do biblioteki-czytelni dwie duże

plansze z fotografiami i opisem właścicieli dworów w Łopienniku i Kępie t.j. moich rodziców i ciotek Janiszewskich. Ponadto w sali bibliotecznej znajdowały się fotogramy wszystkich siedmiu istniejących i już nieistniejących okolicznych dworów. Tam też zostaliśmy obdarowani kopią rysunku łopiennickiego dworu, który zajął I miejsce na szkolnym konkursie p.t. „Okoliczne dwory”. Pokazywano nam również pytania ze szkolnych quizów na temat okolicznych majątków i ich właścicieli. Przytaczam jedno z quizowych pytań: „Z czego znany był majątek w Łopienniku”? Poprawna odpowiedź brzmiała: z plantacji chmielu i hodowli koni dla wojska (tzw. remontów). Obdarowano nas również wydaną z okazji 40-lecia monografią szkoły. Na 107 stron tekstu 27 stron dotyczyło majątku, dworu i naszej rodziny.

Jubileusz szkoły stał się również okazją do kilku ciekawych spotkań. Przytoczę jedynie dwa. Córka naszej niani p. Jędykowej ze łzami w oczach wspominała, że niezżyjąca jej matka, która była sierotą, dostała od mojego Ojca ślubną wyprawkę, w skład której wchodziła m.in. mleczna krowa. Natomiast dwóch szacownych kępskich gospodarzy przyznało się, że to oni ponad pół wieku temu obrzucali mnie kamieniami, gdy w kępskim jezioru łowiłem ryby.

Na życzenie pp. Skubików, po powrocie do Szczecina niezwłocznie przesłałem im fotografie i materiały na temat rodziny, na podstawie których zostały uzupełnione plansze przy wejściu do szkolnej biblioteki.

Wiedziałem, że p. Anna Skubik uzupełnia wykształcenie i studiuje zaocznie. Nie wiedząc, że jest na etapie licencjatu, zasugerowałem jej, że z uwagi na zasób wiedzy o naszej rodzinie, powinna pisać pracę magisterską na jej temat. No i stało się. W 2004 roku na Wydziale Humanistycznym UMCS w Lublinie u prof. dr hab. Jana Lewandowskiego obroniła pracę licencjacką p.t. „Łopiennik k/Urzędowa w latach 1880-2003”. Ponad połowa jej treści dotyczyła bezpośrednio naszej rodziny. W roku 2006 „idąc za ciosem” p. Anna obroniła u tego samego promotora pracę magisterską p.t. „Ziemiańska rodzina Kochanowskich w latach 1880-1945”. Pragnę podkreślić, że niezależnie od udostępnionych jej materiałów, p. Anna do pracy magisterskiej przeprowadziła bardzo wszechstronną kwerendę i zebrała wiele ciekawych materiałów. Jej zasługą jest znalezienie nieznanych szczegółów na temat naszego rodu. Przykładowo na cmentarzu w Modliborzycach odkryła wspańiałe grobowce prababki Izabeli z Pomianowskich oraz praprababki Jadwigi z Sołtyków i ujawniła udział pra-

dziadka Franciszka-Salezego, właściciela Wierchowisk w lokalnych władzach powstania styczniowego. W tamtejszym przydworskim parku, który wspólnie zwiedzaliśmy, podziwialiśmy oprawny w stal dębowy kikut powstańczego krzyża. Powstańcy przez dłuższy czas mieli tam bowiem swoją bazę. Oglądaliśmy również w Pasiece miejsce po rozebranych w 1945 roku przez okoliczną ludność na opał zabytkowym modrzewiowym dworze należącym ongiś do mojego dziadka Gustawa.

Bywając w naszych stronach miewałem w kępskiej szkole prelekcje na temat gospodarki morskiej. Gościłem również u p.p. Skubików mieszkających w Urzędowie. Obecnie obydwójce są już na emeryturze, a kontakty osobiste z nimi są coraz rzadsze. Niemniej od p. Ani otrzymuję regularnie kwartalnik „Nasza Gmina Borzechów”, o którym będzie jeszcze później mowa, oraz informacje na temat odbudowy łopiennickiego dworu.

Relacjonowanie kolejnych kontaktów ze stronami rodzinnymi wymaga wyjaśnienia podległości naszego Łopiennika w zakresie administracji państwowej i kościelnej. Przed I wojną światową Łopiennik należał do gminy Urzędów, w okresie międzywojennym do gminy Chodel, a po wojnie do gminy Borzechów. Parafialnie, wieś Łopiennik należy do Urzędowa, natomiast dwór od XV wieku do parafii w Ratoszynie.

Zacznę od Urzędowa ongiś bogatego królewskiego miasta na szlaku Kraków - Wilno, obecnie wioski – osady gminnej z planetarium i 14 pomnikami, do której od lat dziecięcych mam wielki sentyment. Tam przed wojną we wspianale zaopatrzoną „Społem” robiliśmy wszystkie zakupy, do „Społem” dostarczaliśmy również mleko z naszej obory. Tamtejsza Kasa Stefczyka prowadziła Ojcu sprawy finansowe a społemowska cukiernia serwowała wspianale lody w wielkich szklankach. W 2000 roku zapoznałem się z mieszkającą wprawdzie w Lublinie, ale rodowitą urzędowianką dr Małgorzatą Ciosmak. Jest ona redaktorem naczelnym bardzo starannie wydawanego ilustrowanego rocznika „Głos Ziemi Urzędowskiej”, organu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Urzędowskiej, którego do niedawna byłem członkiem. Za namową dr Ciosmak w Głosie publikuję rokrocznie obszernie artykuły na temat Łopiennika i rodziny. Aktualnie głowią się nad tematem „Savoir vivre w ziemiańskim dworze” przeznaczonym do kolejnego wydania. Również inni autorzy pisują w Głosie o okolicznych ziemianach: Hemplach, Metelskich, Zembrzuskich, Piaseckich i innych.

Nie tak dawno na jakiejś imprezie w kępskiej szkole poznałem miłego wójta borzechowskiego Zenona Madzelana. On zaś z pretensją wypomniał mnie, że mimo, że pochodzę z miejscowości w jego gminie, to pisuję do periodyku w gminie sąsiedniej. A przecież Gmina Borzechów ma własny, też ilustrowany i do tego kwartalnik a nie rocznik. Aby wójta, nota bene wielkiego bibliofila udobruchać, ofiarowałem mu egzemplarz swojego „Sztauera z lubelskiej wioski” ze zgodą na przedruk w odcinkach w kwartalniku „Nasza Gmina Borzechów”. Od tego czasu czytelnicy – mieszkańcy tej typowo rolniczej gminy wprowadzani są odcinkami w arkana sztauerskich problemów. Opublikowane dotychczas odcinki zostały na wstępie zaopatrzone przez redakcję Naszej Gminy następującym wiele mówiącym mottem: *„Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną...!”*

Utrzymuję stały kontakt i współpracuję z regionalistką naszych stron dr Anną Wnuk z pobliskiej Leszczyny. Gromadzi ona i publikuje materiały na temat okolicznych rodzin ziemiańskich. Jej matka pochodzi ze wsi Łopiennik. Zapamiętałem dobrze jej rodzinę, mieli bowiem schludne gospodarstwo naprzeciw krzyża stojącego na skraju naszego parku. Przy sposobności wymienię znamienne spostrzeżenie. Otóż na wiele bytności w rodzinnych stronach i po odnowieniu i nawiązaniu licznych nowych znajomości, a nawet przyjaźni, nigdy nie szukał ze mną kontaktu nikt z byłej służby folwarcznej lub jej potomnych, którzy gospodarują na ziemi, przyznanej Dekretem o Reformie Rolnej z 6.9.1944 r. A przecież z niektórymi działaliśmy wspólnie w latach 1943/44 w tamtejszej placówce B.Ch. Byliśmy więc, jak to się górnołotnie mawia „towarzyszami broni”. Byłem tym najmłodszym „towarzyszem”, więc może wszyscy już wymarli? Wyznam szczerze, że i ja tych kontaktów nie szukałem. To samo dotyczy kolejnych właścicieli łopiennickiej resztówki.

Gdy od czasu do czasu przebywam w stronach rodzinnych, przyjaciele, znajomi proponują mi zwykle odwiedzanie łopiennickiego parku i dworu. Znając stan faktyczny z otrzymywanych fotografii, zawsze odmawiam, a przejeżdżając przez Łopiennik odwracam głowę w przeciwną od dworu stronę. Oglądanie ponurej ruiny i zarośniętego pokrzywami parku, zrobiło by na mnie zbyt przygnębiające wrażenie, jako że w pamięci mam utrwalony obraz jego świetności jeszcze z lat dziecięcych. Ostatnio, ktoś zaproponował mi odwiedzenie odbudowanego już dworu. Wiedząc, że przy wjeździe wisi tablica

„Wstęp surowo wzbroniony”, podziękowałem dodając, że nie wyobrażam sobie sytuacji, gdyby mnie nie chciano tam wpuścić, lub gdybym został stamtąd wyproszony.

Na cmentarzu parafialnym w Ratoszynie (gm. Chodel) odległym od Łopiennika o około 6 km. znajduje się nasz grobowiec rodzinny. Mimo opłacanej opieki, przez lata ulegał on stopniowo znacznej dewastacji, m.in. zostało rozkradzione metalowe ogrodzenie, rozbita ceramiczna fotografia dziadka itd. Dlatego konieczna stała się zmiana opiekunów. Kolejnymi zostali krewni Ciosmaków p.p. Marianowscy plantatorzy malin ze Stasina graniczącego ongiś z łopiennickimi polami. Nowi, wyjątkowo sumienni opiekunowie zaaranżowali niezbędne remonty i przywrócili grobowiec, w którym zamierzam po śmierci spocząć, do właściwego stanu. Widząc w Stasinie dwóch synów p.p. Marianowskich w wieku okołomaturalnym, przywiozłem im informator uczelni, w której pracowałem (Akademia Morska w Szczecinie). No i najpierw starszy, później młodszy, obaj są już studentami tej uczelni. Oczywiście w sprawie grobowca złożyłem wizytę bardzo chwalebnyemu przez wiernych ratoszyńskiemu proboszczowi ks. kan. Kopciowskiemu, przedstawiając mu się jako jego parafianin do 1944 roku i po śmierci. Ucieliśmy sobie miłą przydługą pogawędkę, z której dowiedziałem się, że zna doskonale historię mojej siostry, oraz że Ojciec we dworze przechowywał podczas okupacji jego znajomego - ukrywającego się księdza. Przypomniałem go sobie spośród kilku ukrywających się. Oczywiście nie chodził w sutannie i został przedstawiony domownikom jako x-iński sporządzający bilans majątku. Nigdy nie przyszło by mnie do głowy, że to może być ksiądz. Niestety proboszcz zmarł nagle w ubiegłym roku, a z jego następcą jeszcze nie zdołałem się spotkać.

Ze strony przedstawicieli starszego pokolenia zamieszkujących rodzinne strony, po wymienieniu swojego nazwiska, spotykałem się wielokrotnie z pytaniem, co mam wspólnego z „Błyskawicą” od Zapory. Oczywiście chodziło o moją siostrę Izabellę, łączniczkę żołnierzy wyklętych Zgrupowania WiN Hieronima Dekutowskiego, bohaterskiego majora „Zapory” operującego głównie w naszych stronach.

Sądę, że pokłosie moich działań na terenie Lublina, gdzie dość często bywam, dociera w jakimś stopniu do mieszkańców rodzinnych stron. W 2005 roku zostałem zaproszony przez dyrektorę dr Ire-

nę Kołodziejczyk i cały dzień goszczony w Gimnazjum nr 7 im. Jana Kochanowskiego w Lublinie. Na spotkaniu z gimnazjalistami z ostatniej klasy, na moje zapytanie, kto pochodzi z gmin w Urzędowie, Borzechowie i Chodlu, na około 60 obecnych, 7 podniosło rękę. Ofiarowałem wówczas gimnazjalnej bibliotece książkę autorstwa Klementyny Hoffmanowej z Tańskich „Jan Kochanowski w Czarnym Lesie”. wyd. Lipsk 1842 (sprawdzając wcześniej czy takowa już się w bibliotece nie znajduje). W następnych latach dwukrotnie wygłosiłem w tym gimnazjum odczyty, pierwszy na temat rodu Kochanowskich, drugi na temat Mariana Korwin-Kochanowskiego XIX-wiecznego, przedwcześnie zmarłego poety z Lublina.

W sierpniu 2009 roku red. Monika Hemperek w audycji p.t. „Drzewo Rodzinne” Radia Lublin przeprowadziła ze mną obszerny wywiad. Natomiast w 2010/11 roku uczestniczyłem w dwuodcinkowym programie red. Wojciecha Sumlińskiego w TVP Lublin p.t. „Oblicza Prawdy” (Uprawa), w którym relacjonowałem działalność Ojca w tej ziemiańskiej organizacji konspiracyjnej. Miałem wówczas sygnały od znajomych z rodzinnych stron, że mnie i słyszano i oglądano.

Moje strony rodzinne mieszczą się w trójkącie wyznaczonym przez miejscowości Urzędów - Chodel - Borzechów, mieszczącym się na połowie odległości pomiędzy Lublinem a Wisłą (inny - Łopiennik leży na trasie Lublin - Krasnystaw). Na Lubelszczyznę przeniosła się nasza linia spod Radomia na początku XIX wieku. Nie mogę więc nazywać matecznika Korwin-Kochanowskich czyli Radomskiego i Sandomierszczyznę stronami rodzinnymi. Dlatego zrozumiałe skądinąd odwiedziny tamtych stron, mają inny charakter od omawianych wyżej. Bazujemy zwykle w Zwoleniu, w którym odbywały się dwa kolejne Zjazdy Rodu Korwin Kochanowskich, a w 1984 r. niezwykle uroczysty kolejny pogrzeb domniemych szczątków Wielkiego Poety. Ze Zwolenia robimy wypad do Czarnolasu, a ostatnio rajd po wszystkich kaplicach, kościołach i miejscach po nieistniejących kościołach fundowanych przez Korwin-Kochanowskich. Na dzień 24 czerwca b.r. zostaliśmy właśnie zaproszeni przez ks. Bernarda Kasprzyckiego proboszcza kościoła w Zwoleniu na Uroczystość związaną z zakończeniem remontu i udostępnieniem dla zwiedzających Kaplicy Korwin-Kochanowskich przy tamtejszym kościele.